

Mówili - niepotrzebna. Wątpili - kto tam przyjdzie? Twierdzili - nie ma takiego problemu.
Rozkładali ręce - brak środków. Odgradzali barierą paragrafów, przepisów, zarządzeń.
Mur niechęci i utrudnień rósł z każdą beznamiętną twarzą przypisaną biurkowemu królestwu.
Każda pieczętka na wniosku okupiona była wielogodzinnymi bataliami. Zawiazywano sojusze i koalicje.
Pociski argumentów padały gęsto. Ci, których dotyczyła ta bitwa pozostawali w ukryciu.
Nie, to nie tak!
To inni nie zauważali ich istnienia. Bo temat wstydlivy. Gdyż tak wygodniej. Przecież to element, margines społeczności ich świata. Najprościej przyjąć strategię trzech małpek.
Nie dawaliśmy za wygraną. Nękailiśmy przeciwnika salwami telefonów, minami pism i podań.
Dywersja na tyłach wroga podkopywała jego morale. Dezerterzy zaczęli przechodzić na naszą stronę.
Zdobyliśmy przewagę w Radzie - wniosek przeszedł.

Dzisiaj, po roku, z uśmiechem wspominam te chwile. Jadłodajnia ruszyła, działa i wpisała się już w scenerię miasta. Problem, którego nie było, rozrósł się nagle do niebotycznych rozmiarów. Bezdomni, bezrobotni, ci którym brak środków na przeżycie.
Dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto, trzysta, pięćset posiłków dziennie. Doszliśmy do maksimum naszych możliwości. "Goście" z początku nieufni, wrodzy, buntujący się przeciw punktom regulaminu (żadnego alkoholu, prochów, używek, kulturalne zachowanie), zaczęli powoli przełamywać mur swojego osamotnienia. Zaczęli zrzucać z siebie ciężar baznadziei. Życia aby do jutra, do soboty, do wiosny ... aby było następne do.
Mój stolik stojący na uboczu w kącie, z plakietką "terapeuta", wzbudzał ich nieufność, ba - wręcz wrogość. Byłem wrzodem w ciele ich zamkniętego świata.
- Po cholerę tu siedzisz ćwoku.
Zdawały się mówić ich ukradkowo rzucane spojrzenia.
- Nie chcemy cię tu. Wynoś się.
Dodawały zwrócone w moim kierunku zgarbione plecy.
- Mamy cię gdzieś!
Wybuchalo plwociną na podłodze.
Doszedł następny punkt regulaminu.
"Na terenie jadłodajni zabrania się plucia na podłogę".
Przyjęli go szemraniem, patrząc z niechęcią w moim kierunku.
Nie narzucałem się. Po prostu byłem. Jak stolik, krzesło, kocioł na zupeł, stałem się elementem wyposażenia. Przyzwyczajałem ich do swojej obecności, do nieszczęsnej plakietki.
Budowałem subtelny pomost do przyszłego porozumienia. Grzebiąc łyżką obserwowałem twarze. Męskie, kobiece, stare, młode, zarośnięte, ogolone - łączyło je jedno. Założyli maski nijakości, bezosobowości. Żyjące manekiny, wbijające wzrok w zawartość talerza. Zjeść i wyjść, uciec do własnego świata anonimowości.
Po tygodniu zaczęli mnie witać ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Odpowiadałem tym samym, uśmiechając się skrycie. Dobrze, wyśmienicie. Już przywykają, przyjmują moją obecność jako coś naturalnego. Wtopiłem się w ich krajobraz, przestałem kłuć nieznanym.
Jeszcze poczekam, jestem cierpliwy, mam czas.
Przełom nastąpił pewnego sobotniego popołudnia. Od początku wydawania posiłków czuć było

w powietrzu jakieś podniecenie. Ukradkowe spojrzenia, szept, utwierdzały mnie w przekonaniu, że coś się wydarzy.

Usłyszałem stukot odsuwanej krzesła. Od stołu pod oknem podniosła się kurpuletna blondynka. Spoglądała niepewnie w moim kierunku. Asystowali jej dwaj malcy w wieku 4-5 lat.

Sala zamarła. Ustało stukanie łyżek, kucharka skamieniała z chochlą rosółu w ręce.

Zdawało się, że czas zatrzymał się w miejscu.

Przełknęła głośno ślinę i ponaglana spojrzeniami pozostałych, ruszyła do mojego stolika.

- Jestem Nina. Czy można?

Spytała dźwięcznie z rosyjskim akcentem.

- Proszę.

Wskazałem ręką krzesło.

Siadła na brzeжку, nerwowo splatając ręce. Jej oczy rozpoczęły chaotyczny taniec szukając punktu zaczepienia.

- Przemóż się.

Dopingowałem ją w duchu.

- To będzie twoje pierwsze zwycięstwo.

- Wiesz, chcielibyśmy wiedzieć, po co tu jesteś?

Wyrzuciła wreszcie z siebie, głosem zachrypniętym z emocji.

- Aby wam służyć radą i pomocą.

Odparłem najspokojniej jak umiałem.

- To znaczy?

- Chciałbym wam pomóc w przezwyciężaniu osobistych lęków, zahamowań.

- Tak jak ten lekarz od czubków?

Widziałem, że chce się zerwać z krzesła i uciec gdzie pieprz rośnie.

- Nie! Nie jako psychiatra!

Uspakajałem, widząc, że sytuacja staje się podbramkowa.

- Jako człowiek. Jako ktoś, kto rozumie wasze problemy lub przynajmniej stara się je zrozumieć.

Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Zaniemówiła. Tylko te wlepione we mnie ślepia zdawały się mówić.

- Nie kręć bratku. Nikt nie działa bezinteresownie.

Patrzyłem w te oczy i wiedziałem, że nadeszła decydująca chwila. Albo odejdzie, skazując na klęskę całą moją misję, lub zostanie przełamując wreszcie lody odgradzające do tej pory nasze dwa światy.

Czas ciągnął się niemiłosiernie. Widziałem po napiętych mięśniach twarzy, że toczy wewnętrzną walkę. Walkę między nieufnością a ciekawością. Siedziałem jak oskarżony czekający na wyrok - winny, niewinny.

- Przecież nic o nas nie wiesz. Ty masz swój dom, rodzinę, pracę. Co możesz wiedzieć o naszej vegetacji. O walce: o każdy grosz, o kromkę chleba, o kąt do spania.

Słowa popłynęły rwącą rzeką.

Instyktownie przybrałem jej pozę, splatając ręce na blacie stołu. W miarę jak mówiła, rozluźniałem je, kierując wnętrza dłoni ku górze. Bezwiednie powtórzyła mój gest i mówiła, mówiła. O tym jak razem z synem przyjechała do Polski z Ukrainy, w poszukiwaniu lepszego jutra, godziwego życia. O tym, jak syn z synową zginęli w wypadku samochodowym, pozostawiając jej w spadku masę długów i półtoraroczne bliźnięta.

O eksmisji, o walce by pozostawiono jej dzieci. O wszystkich pracach jakie podejmowała, byle tylko ta dwójka miała co zjeść. O bólu, rozpacz, zwątpieniu.

Minuty mijały a Nina wyrzucała z siebie cały balast minionych lat.

Jej rysy wygładziły się, znikło napięcie, tylko w kącikach oczu szklily się kropelki łez.

Gdy skończyła, z ulgą rzuciła się na oparcie krzesła.

- Moj Boh! Ja eto wsio skazała!

Kręciła z niedowierzaniem głową. Nagle zerwała się i złapała mnie za ręce.

- Dziękuję ci. Dziękuję, że wysłuchałeś tego wszystkiego.

Poczerwieniała na twarzy, obróciła na pięcie i znikła za drzwiami sali.

Bliznięta pobiegly w ślad za nią.

Po chwili na sali nie było nikogo. Świątowałem swój sukces, uśmiechając się błogo do kucharki.

Następnego dnia czekała mnie niespodzianka. Mój stolik przykrywała ręcznie haftowana lniana serweta. Czerwone maki płonęły ogniem wśród misternie poprzeplatanych kłosów zbóż.

Z wazonu wydzielaly słodki aromat kwiaty białego bzu.

Nina uśmiechała się szelmowsko, rzucając co trochę spojrzenie w moim kierunku.

Z tym uśmiechem wyglądała naprawdę ładnie.

- To ty Ninoczka?

Spytałem.

- Oj! Już dawno nikt tak mnie nie nazwał.

Zaśmiała się radośnie jak mała dziewczynka.

Po chwili przy stoliku utworzyła się mała kolejka.

- Dzień dobry panie Pawle.

Wyciągnięta w moim kierunku ręka. Jeszcze jedna i następne.

Do zamknięcia stołówki nie byłem sam.

Zmieniali się przy moim stoliku, karmiąc swoimi opowieściami.

Ocean ludzkich losów przewalał się sztormem wśród maleńkich kwiatków bzu.

Zrzucali z siebie ciężar osamotnienia, niezrozumienia. Ciężar lumpa, alkoholika, narkomana.

Choć na chwilę mogli poczuć się normalnymi ludźmi.

W następnych dniach na ścianach pojawiły się obrazy, na stołach ręcznie plecione, wiklinowe koszyki na owoce. Przed budynkiem rabata przyciągała oczy mozaiką kolorowych kwiatów.

Znaleźli wreszcie miejsce, gdzie poczuli się bezpiecznie.

Gdzie choć przez chwilę, drugi człowiek traktował ich jak człowieka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

AndreaDoria, dodano 18.03.2007 20:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.